TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 8. POZNAŃ 23go Listopada 1878 roku. Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki — kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1½ arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie 1 złr. 25 cent.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i urzędy pocztowe.

Koleje życia.

Powieść

T. T. Jeża.

(Ciąg dalszy).

Powróciły tedy dla Edwarda szczęśliwe, spokojne dni. Zanim jednakże do pokazania czytelnikowi osoby naszego bohatera w stanie szczęśliwości przystąpię, muszę zrobić ogromny przez czas i przestrzeń skok: przez czas sześcioletni; przez przestrzeń, niewiem ile wynoszącą mil, z Kamionek do Homburga.

— Do Homburga?

Któż się niedomyśli, po co! Któryż z czytelników niepowie na pewne, że ów olbrzymi skok zrobiony jest na intencyą Eliasza.

Tak. Eliasz poszedł drogą wszystkich maminych pieszczochów i wszystkich pieszczochów fortuny. Z objęć mamy rzucił się w objęcie metressy pierwszéj lepszéj, która mu drogę zaszla i stała się jego sentymentów guwernantką. Od niéj nauczył się anatomii uczuć. Z jéj rąk wyszedłszy, dopiero wyemancypował się zupełnie i popłynął niby okręt, gdy wiatr dobry w żagle uchwyci.

Popłynął. Wczora zostawiał za sobą jak niepotrzebny, zużyty grat, o jutrze niemyślał; pędził nie wiedząc dokąd, na skrzydłach wekslów, które go nosiły po wszystkich stolicach i wszystkich wsławionych cudami fortuny miastach i zaniosły do Homburga.

Nie po raz to pierwszy zajrzał on do tego sławnego *rendez-vous* marnotrawców całego świata. Niejeden tysiąc franków puścił już na ruletę. Nas jednakże gra ta nieobchodzi. Nawet w tym oto momencie, w którym po sześciu latach ukazuję go czytelnikowi, powiem o nim w sposób powieściarski; młody człowiek wyniosłego wzrostu, regularnych rysów twarzy, brunet, ujmującéj powierzchowności, pańskich manier, siedział pomiędzy ponterami i stawiał. Niepowiem wszakże ani ile stawiał, ani też jak mu szczęście sprzyjało.

Przy tym samym stole siedział inny człowiek, niemłody, którego powieściarski rysopis był jota w jotę ten sam co Eliasza: wyniosłego wzrostu, regularnych rysów twarzy, brunet, ujmującéj powierzchowności, pańskich manier. Ten także stawiał. Pomiędzy jego a Eliasza stawianiem ta zachodziła różnica, że Eliasz rzucał pieniądze od niechcenia, niewiele zważając na wygraną i przegraną, tamtemu zaś w oczach palił się ogień gry.

Eliasz nieznał się z nim. Znali go jednakże bankierzy i większa połowa ponterów, bo go to pocieszali, to zachęcali i widocznie udział w jego losie brali.

— Śmiało! mówili jedni.

— Niezrażaj się! mówili drudzy.

On zaś powtórzył już kilkakrotnie:

— Dopiero teraz zrozumiałem znaczenie gry; dopiero teraz czuję całą jéj głębokość, kiedy mi niby minę w pierś włożyła, kiedy na stawkę rzucam ostatki.

Po chwili zwracając się do publiczności, zapytał:

— Pamiętacie, jak grywałem dawniéj? Zachwycaliście się moją zimną krwią.

Ktoś bąknął z wyrazem fałszywego politowania:

— Czasy się zmieniają. Dawniéj było inaczéj, dziś inaczéj.

— Dawniéj mógłem Homburg kupić z bankierami i poniterami, odparł nieznajomy tonem przechwałki, która publiczności wydała się nie na swojem miejscu, bo i gracze i galerya z szyderskim na niego spojrzeli uśmiechem.

— Śmiało, daléj; ktoś się odezwał.

— Oto dowód śmiałości! zawołał nieznajomy. Stawiam ostatek kolosalnéj fortuny, piętnaście tysięcy franków.

I pytającym wzrokiem spojrzał na bankiera.

Bankier odpowiedział:

— Idzie.

Rzucił gałkę, zakręcił ruletę i zamknął szkatułkę.

Po chwili odemknął i wygłosił numer i kolor.

— Czerwony wygrał, czarny przegrał.

Nieznajomy postawił na kolor i do tego na czarny.

Krupier z zimną krwią zgarnął łopatką pieniądze.

Nieznajomy wstał, wyciągnął się, uśmiechnął, poprawił sobie włosy i na głos powiedział:

— Teraz, według przyjętego w świecie porządku, powinienbym sobie strzelić w łeb. Zrobiłbym to niezawodnie, gdyby nie psy, do których pójdę na łaskawy chleb. Wprawdzie wszystko to jedno co umrzeć, ale, przecie kilka jeszcze lat pociągnę i zabawię się w rozpamiętywanie grzechów mojego żywota. Nieocenione to stworzenia, te psy z góry świętego Bernarda!

Odsunął krzesło, włożył na głowę kapelusz i wyszedł.

Przemowy téj słuchali wszyscy z zajęciem, ale z największem Eliasz. Wpatrzył się w nieznajomego i nie zabierał wygranéj, która na czerwonym leżała kolorze. W publiczności odzywały się głosy:

— Zwaryował, w łeb sobie wypali. Już też nie będzie z psami sztuk pokazywał.

Ktoś wymówił nazwisko:

— Endymion.

Eliasz, usłyszawszy nazwisko, zerwał się, schwycił za kapelusz i pędem wybiegł z sali.

I dopędził Endymiona na schodach.

Syn porwał ojca za rękę, ale nie zawołał: ojcze! Eliasz tego wyrazu nie znał i nie rozumiał. Endymion zainteresował go przedewszystkiem, jako zrujnowany bogacz, bogacza niezrujnowanego, któremuby rękę chętnie podał, gdyby na to konwenanse pozwalały, to jest, gdyby był z nim w zażyłości lub przynajmniéj bliskiéj znajomości. Synostwo stawało na miejscu znajomości i zażyłości. Oto cały powód, dla którego pod wrażeniem wróżb stawianych przez ruletową publiczność, zerwał się, wybiegł, i zatrzymując ojca na schodach, ofiarował mu swój pulares.

— Wracaj i graj daléj.

Endymion wzrokiem surowym zmierzył młodego człowieka od stóp do głowy i zapytał:

— Cóż to za napaść?

— Przyjm odemnie pożyczkę.

— Nie mam zwyczaju pożyczać u nieznajomych.

— Może się odegrasz.

Endymion się zaśmiał i chciał daléj iść. Lecz się wstrzymał i zrazu do siebie a następnie do Eliasza w te przemówił słowa:

— A, to niepraktykowana wspaniałomyślność! Czemuż mam przypisać powód téj wspaniałomyślności? Co pana upoważnia do ofiarowania mi swego pularesu na *risque et peril?*

— To, odparł Eliasz, że jestem Eliasz Endymionowicz.

— Ba! zawołał Endymion; szczególne spotkanie!

— Jestem twoim synem.

— Więc, pulares weź, i wracaj.

— Hm? i pomilczał przez chwilę. Ot, wiesz co? dziś mi się nie chce już grać. Zanadto mnie ta gra zirytowała. Wracaj sam. Pójdę spać. Rad jestem zabraniu z tobą znajomości. Oto moja karta.

To mówiąc, podał synowi bilet wizytowy z adresem pomieszkania.

Eliaszowi w téj chwili przyszła na myśl wróżba śmierci dla ojca, słyszana w sali gry. Więc odparł:

— I mnie się grać już nie chce. Zanadto wzruszony jestem spotkaniem się z tobą.

— Co za tkliwy syn! zawołał Endymion drwiącym tonem.

— Nie to, odrzekł Eliasz, i ukazując palcem na drzwi sali, dodał:

— Tam są tego przekonania, że w łeb sobie wypalisz.

— Nic dziwnego. Tego ich uczy filozofia życia ludzkiego, oparta na licznych doświadczeniach. Za przedziurawieniem kieszeni idzie zazwyczaj przedziurawienie głowy. Ostatnia przegrana otwiera wieczności podwoje. Ale o mnie niech będą spokojni. Mnie jeszcze pozostają psy, a zresztą, dodał w formie żartu, mogę jeszcze w jakim dużym zakochać się posagu.

Powiedziawszy to, zeszedł ze schodów i udał się ku hotelowi, w którym mieszkał. Eliasz poszedł z nim razem. Przyszedłszy dowiedział się, że w tym samym mieszka hotelu. Na drodze rozmowa toczyła się tonem półżartobliwym, który uspokoił obawy Eliasza. Pomyślał sobie:

— Człowiek co tak rozmawia swobodnie, ani jest waryat, ani chce sobie życie odebrać.

W hotelu rozstali się Endymion, ściskając rękę Eliasza, powiedział:

— Czuję wielką chęć bliższą z tobą zabrać znajomość. Jeżeli cię to przeto nie zderanżuje, zajdź do mnie jutro około dziesiątéj.

— Zajdę, ale pod warunkiem, odpowiedział Eliasz, że spędzimy z sobą cały dzień.

— Dobrze. Jestem goły, nic więc nie mam lepszego do robienia.

Nazajutrz tedy około dziesiątéj ojciec z synem zeszli się, spędzili z sobą dzień cały, zabrali bliższą znajomość i wieczorem razem udali się na ruletę. Endymion czerpał w pularesie Eliasza. Powtórzyło się to przez kilka z rzędu dni i sformował się pomiędzy nimi stosunek przyjacielski, któremu różnica wieku bynajmniéj na przeszkodzie nie

stała. Endymion umiał być doskonałym *jeune père*, to jest, stanąć z synem na stopie rówiennika, to jest, pokazywać mu drogi, na któreby on i sam trafił, ale nie tak może prędko.

— Ale to tak trwać nie może, rzekł raz Endymion po dobrym obiedzie, gdy znalazł się z synem sam na sam.

— Co? zapytał Eliasz.

— A, życie takie. Trzeba, żebym się jakoś etablisował.

— Czyż nie jesteś etablisowany? Mój pulares masz na rozporządzenie swoje.

— Twój pulares? moje rozporządzenie? odparł Endymion. To mi djable mięsza szyki. Stałem wysoko, upadłem nisko, a rozporządzenie twoim pularesem jest miarą mego upadku. Trzeba postarać się podnieść.

— Byle tylko sposób, wtrącił Eliasz od niechcenia.

— Sposób, w mojem rzemiośle; a mojem rzemiosłem, bałamucenie cudzych żon. Trzeba się wziąść w końcu do zbałamucenia własnéj.

— He? bąknął Eliasz, nie schwyciwszy od razu myśli ojca.

— Wezmę się do zbałamucenia twojéj matki, odrzekł Endymion dobitnie. Jak ci się ten zamiar podoba?

— Nic nie mam przeciwko niemu. I owszem życzę ci powodzenia.

— Jakże Dyana teraz?

Było to od chwili poznania się z synem pierwsze jego o żonę zapytanie. Po niem nastąpiły inne, długim szeregiem; istna indagacya, która go wtajemniczyła w sposób życia Dyany i doprowadziła do Edwarda.

W tym samym dniu, o téj saméj godzinie, miał Edward ogromną czkawkę. Ten szczegół posłużyć może jako dowód, że czkawka jest pewną oznaką, kiedy kogo wspominają. Wspomniał go Endymion i Eliasz mało po sto razy. Eliasz opowiedział o zajściach z matką, jakie miał z jego powodu. Endymion rozpytywał się, ile on ma lat, jak wygląda, jakie posiada zalety i wady. W końcu rzekł:

— Ten *quasi*-lektor bardzo mi się nie podoba.

— Ja go nienawidzę! wtrącił Eliasz. Przez niego, ani razu od wyjazdu do Kamionek nie zajrzałem. Pisałem do matki i jako warunek moich odwidzin, w każdym prawie liście stawiałem oddalenie, choćby tylko na czas mojéj bytności, tego Edwarda, ale napróżno.

— To źle, ciągnął Edymion; kobieta w tym wieku co Dyana, dla starego i styranego męża nie pozbędzie się młodego lektora. Przy nim moje zabiegi o zbałamucenie twojéj matki obrócą się w nic. Trzeba go oddalić, trzeba koniecznie i to w taki sposób, ażeby powrót jego uczynić niepodobnym. Trzeba się uciec do środków heroicznych.

(C. d. n.)

Pamiętniki komedyanta.

P. Gyulaia.

(Z węgierskiego).

(Ciąg dalszy).

Nie tylko samotność sprawiała mi takie męczarnie, publiczność i koledzy moi przyczyniali się niemało do mego udręczenia. Nie przyjmowano mnie oklaskami, jak pierwéj bywało i tylko moim dawniejszym sukcesom zawdzięczam, że mnie nie wygwizdano. Napróżno szukałem oczyma téj młodziutkiéj dzieweczki; jéj zwykłe miejsce od kilku tygodni było próżnem, a po jéj zniknięciu nie mogłem dopatrzeć się ani jednéj twarzy życzliwéj mi, ani łzy współczucia, ani jednego westchnienia. Nieustanne naigrawanie i szyderstwo, tysiące intryg w około otaczały mnie.

Bodaky który teraz, gdym stracił sympatyą publiczności stał się moim największym nieprzyjacielem, skorzystał z pierwszéj nadarzonéj sposobności, aby mi wypowiedzieć miejsce, mimo to musiałem, zadłużywszy się w miasteczku, grać jeszcze przez dwa miesiące.

Pani Eliza, widząc, żem pozostał głuchym na jéj afekta miłosne, zwróciła się z swemi uczuciami do uwolnionego Romea. Cały personał teatralny, nie wyjąwszy nawet ostatniego maszynisty sprzysiągł się na mnie, i tylko mały sufler, który stanowił opozycyą w naszem towarzystwie stanął po mojéj stronie. Dobry, poczciwy chłopak! On nie umaczał ręki w spisku, wywołanym zawiścią i niechęcią ku mnie. Kilka szklanek wina w gronie przyjaciół, stanowiły całą jego przyjemność. Przecież i w suflerze może znaleść aktor przyjaciela! Ten jeden był mi wiernym, prawdziwym druchem — niech mu Bóg za to wynagrodzi! Nie tylko podszeptywał mi rolę, ale i dobrą radę. Byłoby dobrze, rzekł mi, żebyś się więcéj ograniczył i nie jadał drogich śniadań, nie spijał węgrzyna. Tym sposobem tylko będziesz mógł w miesiącu spłacić swe długi i dać się zaangażować do większego towarzystwa. Usłuchałem go, głodziłem się i uczyłem całemi nocami.

Mieszkałem u wykształconego szewca, który będąc uczciwym i rzetelnym znał się na swem rzemiośle i był

prócz tego prowizorem kościoła. Chodził często do teatru i przy każdéj sposobności okazywał się dla teatru mecenasem. Szczególniéj mnie polubił, a gdym grał rolę dzielnego bohatera, lub przedstawił poczciwy charakter, zapraszał mnie zazwyczaj na obiad i obsypywał wszelkiemi możliwemi względami. Przedstawiliśmy pewnego razu, jak mi się zdaje, na benefis jednego z kolegów lichy dramat tłumaczony z niemieckiego, w którym powierzono mi rolę intryganta. W dobrym będąc humorze, chciałem zabawić publiczność i oddałem czarny charakter w potwornéj masce i w odpowiednim do niéj kostiumie.

Przesadziłem w najściślejszem tego słowa znaczeniu, a publiczność nieoledwie mdlała ze wstrętu. Galerya głośno się odgrażała, parter klął, a panie w krzesłach nie miały nawet odwagi spojrzeć na mnie.

„Ha, ha, ha, ten bezbożnik, ktoby się był po nim spodziewał czegoś podobnego a — przecież tak wygląda statecznie,“ szeptała dobroduszna publiczność. Naturalnie że o oklaskach nie było mowy, w ogóle przedstawiciele pobobnych ról mogą być zadowoleni, gdy wyjdą cali ze sceny! ale to mistrzowskie wykonanie, ta siła czarodziejska sztuki! Cóżby Bodaky na to powiedział, jednak — ta naiwna publiczność.

Nazajutrz rano przyszedł do mnie mój szewc gospodarz z bardzo kwaśną miną.

„Panie!“ zaczął.

„Jestem na jego usługi.“

„Idź pan do djabła ze swemi usługami!“

Zdziwiłem się odebrawszy podobną odpowiedź:

„Jestem człowiekiem poczciwym, bogobojnym, cnotliwym, służę kościołowi,“ mówił daléj, „a gdyby mi kto śmiał zarzucić, że jestem szewcem, temu przypomniałbym Hansa Sachsa; temu odpowiedziałbym, że Jakób Böhm założyciel nowéj religii był także szewcem, ależ nie trzeba sięgać daleko, wszak proboszcz naszego miasteczka, w którym mieszkamy także jest dziecięciem poczciwych mistrzów obuwia?“

Tu się zatrzymał chwilę odetchnął, krząknął i tak daléj prawił:

„Szanowałem pana dotychczas i miałem za uczciwego człowieka. Widzę obecnie jednakże, iż omyliłem się. Kto w ten umie sposób udawać jak pan, kto potrafi przedstawiać z taką prawdą, tak wiernie i naturalnie na scenie łotra i urwisza, ten i w codziennem życiu nie może być uczciwym, naturalnym człowiekiem. Jam człek bogobojny, cnotliwy, jam prowizor kościoła i ojciec licznéj rodziny, a jako taki widzę się zniewolonym wypowiedzieć panu w mym domu mieszkanie i proszę wyszukać sobie inną kwaterę.“

„Dobrze zgoda,“ odparłem, zanosząc się od śmiechu.

Począłem za innem oglądać się mieszkaniem i niebawem wyczytałem na bramie jednéj z kamienic: „Tutaj jest pokój do wynajęcia.“ — Niewiadoma jakaś ręka dopisała na karcie: „Głupiec kto ją wynajmie!“ Ostrzeżenie to było rzeczywiście potrzebnem. Byłem głupcem! Dla czego? Wkrótce się dowiecie. Héj kelnerko, podwój uwagę, ciebie najbardziéj zajmie moje opowiadanie.

Dom, w którym rozbiłem skromny mój namiot, należał do wdowy, która musiała być kiedyś ładną i chciała i teraz uchodzić widocznie za taką. Nietroszcząc się wcale o nią, ani o nic we świecie wprowadziłem się do izdebki, głodziłem się i uczyłem pilniéj jak przedtem.

Kiedy, mię pewnego pięknego poranku śpiew ptaków rychléj, jak zwykle zbudził, otworzyłem okno, aby użyć świeżego powietrza i zatopiłem się wyglądając na świat w spostrzeżeniach nad promieniami słońca porannego, które na listkach wierzb płaczących z takiem współczuciem, tak miłym drzały blaskiem, jak gdyby żałość ich złagodzić chciały. Ach, i moja dusza tęskniła za współczującém, współbolejącém promieniem. O! kiedy dręczony wątpliwościami, zmęczony walkami przed źwierciadłem upadam; kiedy płacząc nad niedolą mego położenia, wyszydzony przez moje własne uczucia, zmęczony wrzawą publiczności głowę mą na zimne łoże opuszczam; gdzież jest wówczas ręka, któraby mi z oczu łzy osuszyć, z piersi niepokój tego gorejącego wzruszenia wypłoszyć mogła? Próżnia była w sercu mojem i bolało mię to bardzo, żem jéj moją świętą miłością do sztuki nie mógł zapełnić. Ani jeden promień radości nie wcisnął się do spokojnych dni méj młodości, nie były one przeplatane rozkoszami. Z niektórych ról moich wysnuwała fantazya dziwaczne obrazy i przedstawiała je oczom moim w bezsennych nocach. Łaknę jak ziemia spragniona i więdnę, jak kwiatek spalony. Cóż zawiera ta chmura, która się teraz właśnie zbiera na horyzoncie, tajemniczego? Burzliwą ulewę, czy inną jaką nawałnicę, grad i zapalające błyskawice lub uśmiechającą się tęczę? Miłość! miłość! wyszeptałem mimowolnie.

Pod oknem mojem rozciągał się ładny ogród i spostrzegłem, że w odległości kilkunastu kroków odemnie dziewczyna kwiaty podlewa. Gospodyni domu?... Nie może być, bo ona nie jest tak wysmukłą, tak młodą; a jak cudownie giętka, jak skacze po dziecinnemu! Gdybym tylko mógł dostrzedz jéj twarzyczkę! W tem obraca się dziewczynka, jakby odgadła myśl moją, twarzą do mnie, biegnie potem szybko do swych dalszych zagonów z kwiatami, i znika nakoniec między drzewami ogrodu. I ja usuwam się jak dziecko zawstydzone, od okna.

Tak, ona to jest owem lubem, niewinnem dziecięciem, które mi raz kwiatów bukiet rzuciło. Jakbym ją mógł zapomnieć? Jakbym mógł to ładne oblicze, tę postać niewinną, te marzące oczy, zapomnieć? Lecz któż ona? Dowiedziałem się później po długich wypytywaniach i wywiadywaniach, że to była córka méj gospodyni i że właśnie wyzdrowiała z długiéj choroby.

To zdarzenie wyrwało mię z mojéj apatyi i nadało życiu memu nowych kolorów. Nie byłem jeszcze zakochany, zbytkowałem tylko w uczuciach, jakie jéj zjawienie się we mnie obudziło, we wzruszeniu, za jakiem od dawna tęskniłem w miłości, która jednak już we mnie zmierzchać się zaczynała.

Stałem się pustelnikiem w méj izbie i stróżem jéj ogrodu, gdzie wyrosł ów wieniec, którym artystę wynagrodziła, a w którym kwitnął inny młodość uszczęśliwiający. W mych spuszczonych zasłonach wyciąłem mały otwór i obserwowałem przezeń niepostrzeżony jéj przyjście, śpiegowałem każde jéj poruszenie. Wiedziałem bardzo dobrze, który zagon najprzód będzie podlewała, z jakich kwiatów wić wieńce, pod jakiem drzewem wypocznie. Widziałem ją, jak stanęła nad brzegiem strumyka, aby się przejrzeć w wód źwierciadle i jak potem klaskając drobnemi rączkami znikała. Niby gołąbek w białéj sukience przesuwała się lekką stopą po strojnym liliami trawniku, stawała następnie jak prosta pasterka pod wystawką domu zwołując dźwięcznym głosem gołębie, by im ziarnek pszenicznych posypać, potem z ptakami w zakład śpiewała tak, że w powietrzu się rozlegało i biegła wreszcie naprzeciw matce szczebiocąc jéj żartobliwe pieszczoty.

Były to najpiękniejsze dni mego życia, obfite w radości, bogate w tajemnice a nieskończenie obfite w poezyą. Byłem jakby odrodzony, a jak serce moje napełniło się nowem pragnieniem życia, tak zyskała i strona artystyczna. Otworzyły mi się czyste jak kryształ źródła uczuć, wiosna panowała w sercu mojem i w izbie mojéj nowe życie się poruszało, jak i na scenie. Czułem się nadzwyczaj szczęśliwym. Od zasłon mego okna szedłem przed kurtynę teatralną, a wszędzie, tak w ogrodzie, jak na parterze, widziały oczy moje tylko ją. Tam szeleszczącą białą suknią, i wesoło się uśmiechającą twarzyczkę, tu przyklaskujące małe rączęta, poruszające się wśród oklasku pióro od kapelusza, owe kosztowne łzy wzruszenia. A kiedym się po męczących rolach późniéj przebudzał znajdowałem bukiety kwiatów na oknie mojém, podobne do tych, które padły na scenę, przy pierwszym mojim występie! Czy wszystkie one były dla artysty, czy dla gorejącego miłością młodzieńca? A może dla obudwóch. Czy miła moja zna język kwiatów? W bukiecie są wawrzyny i róże!

Dawaliśmy „Romeą i Julją.“ Po raz pierwszy w życiu mojem byłem sam z siebie zadowolniony. Jakże wspaniałem jest to jasne, głębokie samopoczucie artysty. To spokojne szczęście, to zgodne natchnienie, dziewicze uwielbienie siebie, przewyższają o wiele hałaśliwą wrzawę oklasków i wieńców. Ach, gdybyśmy tylko mogli bardziéj kochać sztukę, niżeli publiczność, gdybyśmy tylko posiadali mniéj próżności, a więcéj ambicyi! Pogrążony w spokojnem, czystem zachwyceniu kroczyłem wzdłuż wymarłych ulic do mego pomieszkania.

Noc była jasna, księżyc i gwiazdy oświecały promieniami swemi ziemię i — wtedy przypomniała mi się dzisiejsza sztuka w drugiéj scenie, drugiego aktu. Mimowoli przyszło mi na myśl kilka wierszy z méj roli, kiedym się naraz znalazł w ogrodzie, którego przedtem nigdy nie śmiałem przestąpić. Jakaś tajemnicza siła ciągnęła mię do owéj murawy i pod owe drzewo, gdzie ona zwykła była odpoczywać. Spojrzałem — ona stała przedemną. Gdyby mnie się wówczas jak Julia była zapytała:

„Jakżeś tu przyszedł? O powiedz mi dla czego?“ odpowiedziałbym jéj był prawdopodobnie z Romeem:

„Miłości lekkie skrzydła niosły mię!“ Ale — ona przestraszona krzyknęła — ja prosiłem o przebaczenie. . .

„O przebacz mi pan raczéj, żem się ośmieliła.“

Chciałem coś powiedzieć, alem nie mógł słów znaleźć. Inny na mojem miejscu byłby jej może zadeklamował czuły jaki ustęp wyjęty z tragedyi miłosnéj. Mnie przyszły w mem pomięszaniu tylko słowa Romea na myśl:

„Za śmiały jestem, ona do mnie nie mówi!“

„Piękną noc mamy,“ rzekła wreszcie.

„W istocie, bardzo piękną.“

„Jak jasno gwiazdy świecą.“

„Obrałem sobie jedną z pomiędzy nich. Patrz pani, jest to owa błyszcząca, która właśnie nad naszemi błyszczy głowami.“

„To gwiazda wieczorna. Jabym, gdybym mógł, wybierać, wybrał tę obok stojącą. Przypominałaby mi zawsze tę piękną noc, tę piękną chwilę.“

Nie odpowiedziała nic. Odstąpiłem kilka kroków, przestraszony mą śmiałością.

„Nieprawdaż, kwiaty są piękne?

„O cudownie piękne, pani, mianowicie lilie.“

„To jest kolor najczystszego serca. Ja bardzo lubię róże.“

„I róże są we wieńcu, to znaczy miłość i sławę.“

Zaczerwieniła się, com przy blasku księżyca bardzo dobrze mógł dostrzedz. Przestraszyłem się na nowo i zamierzałem odejść; kazała jednak pozostać. Zająłem miejsce na darninie, zdala od niéj.

Wieczór był cudowny, a powietrze tak czyste i pogodne, że nieledwie widzieć było można Boga na niebie tak spokojne, że można było śpiew aniołów dosłyszeć, Widzieliśmy Boga, słyszeliśmy aniołów zawodzących cudowny śpiew i czuliśmy nawzajem tak głęboko, że niemogliśmy słowa przemówić.

Ona pierwsza przemówiła. Szeptała o teatrze, o dzisiejszéj sztuce, o mnie, o sobie, o swych kwiatach, o swych ptaszkach i Bóg wie jeszcze o czem. Ja odzywałem się bardzo mało. To niespodziane spotkanie zakreśliło nademną koło czarodziejskie z którego promieniejąca moja dusza i serce, nie mogły ulecieć ani na słów ani na westchnień skrzydłach. W jednéj perle nie mogły się złączyć, rozłożyły się przeto obie w złamaną łzę. O, gdyby Anioł stróż był wówczas tę łzę pochwycił i do nieba zaniósł, Bóg byłby się może radości, że widzi szczęśliwego człowieka, nademną zmiłował

i w sen mię wprawił, w ów sen głęboki, przezwany przez „głupców, śmiercią.“

Było już późno w noc. Matka, która powracała właśnie z wizyty od przyjaciółki, zawołała na córkę. Dziewczę zerwało się przelękłe i pobiegło spiesznie, wołając „dobra noc.“ Nie ruszyłem się z miejsca i mniemałem, że musi jak Julia powrócić, by jeszcze raz „dobra noc“ powiedzieć. Późniéj udałem się do méj izby na spoczynek, ale nie mogłem zasnąć.

Nie namiętność, nie trawiąca tęsknota odpędzały sen od moich powiek, było to szczęście spokojne, ciche, jakieby strumyk — gdyby miał serce — odczuć musiał, kiedy na wiosnę kwiaty w około niego się przebudzają a promienie słońca porannego po jego igrają zwierciadle. Wreszcie sen słodki owionął moje powieki. Blask księżyca, padając przez zasłony, oświecał słabo twarz moją, w poblizkim krzaku śpiewał słowik wesołą piosenkę — Światło księżyca i śpiew słowika wmięszały się do mego snu. Pierwsze maluje obrazy w duszy mojéj, drugi porusza najskrytszemi strunami serca mego. Było mi, jak gdyby się przedemną nagle brama krainy marzeń otworzyła, jakbym słyszał brzmienie harfy eolskiéj. Wśród takich uczuć i myśli zasnąłem.

(C. d. n.)

Jakób de Trévannes,

przekład z francuskiego

F. W.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Dnia następnego Jakób uwiadomił Aurorę, że ojciec jego przyjeżdża do Paryża, w towarzystwie Urszuli i Genowefy. Dzień upłynął smutnie. — Skoro nadeszła godzina, gdzie miał wyjechać na koléj naprzeciw pani de Trévannes, nie mogła powstrzymać się od łez.

— Cóż to znowu moja ubóstwiana, rzekł, nasza przyszłość wyższa jest, ponad te dziecinne obawy.

— Do widzenia, do jutra, rzekł zwykłym, swobodnym głosem.

Pomimo tego biedna Aurora przepędziła noc bezsennie i w gorączce. Nazajutrz pobiegła do Jakóba. Już był wyszedł z domu.

Ogród Luksemburgski był pusty, cały spoczywający we mgle. Paryż brzydkiem jest miastem dla tych co cierpią; zdawałoby się jakoby horyzont z dachów przyciskał srożéj zrozpaczone serca; boleść pragnie przestrzeni, samotności; w ciągłym ruchu i hałasie obojętnych i zajętych sobą ludzi, człowiek czuje się zapomniany, odrzucony, wskazany na cierpienie. Aurora cierpiała, a każda minuta zdawała jéj się wiecznością. Gdzie on jest? — Niezawodnie, u swojéj żony. — I łzy płynęły jéj z oczu na myśl, że już przyszło do tego, że go niesprawiedliwie podejrzywała. Jéj to tylko zbywało na odwadze i rozsądku i tak jak dziecko starała się znaleść siebie pośród tych znajomych jéj przedmiotów, przepełnionych wonią jéj szczęścia Ukrywała rozpalone czoło pomiędzy powiązane bukiety, chcąc powierzyć swe udręczenie niemym świadkom swego szczęścia. Pod wrażeniem wiosny, umysł jéj wybiegał do Kérouac. Niestety! jakie sny i jakie wrażenia!... Ale nie, Jakób nie mógł okazać się słabym. Bo czyż ona nie należała do niego, nie była potrzebną tak samo wzniosłemu jego umysłowi, jak i szlachetnéj duszy? Wszakżeż istnieją nierozerwalne związki, wyższe po nad wszystkie względy, a ich związek teraz mógłże być zerwanym? Wreszcie na odgłos kroków w przedpokoju, zerwała się.

— Jakóbie!... zawołała.

Uścisnęła go z taką czułością, że zdawałoby się, iż sądziła go straconym. Z pierwszych słów jego przekonała się, że przeczucia jéj były szalone.

— Jakto! zawsze jeszcze te niepotrzebne strachy? rzekł uśmiechając się. Moja ukochana! ty jesteś szalona?

— Nie, nie, wierzę ci odparła szybko; ale nie ukrywaj przedemną niczego, chcę wiedzieć wszystko.

Opowiedział jéj więc wszystkie szczegóły téj dziwnéj wizyty u siebie, nie zamilczając wzruszenia, jakiego doznał, pomimo swego stoicyzmu, na widok swego syna na rękach Urszuli.

A ona? zapytała trwożliwie Aurora.

— Podaliśmy sobie ręce jak ludzie, którzy zobopólnie się szanują, odparł zdziwiony jéj pytaniem. Nie jesteś jeszcze pewna minionéj przeszłości, jak i przyszłości?... Ona jest w Paryżu i to wszystko!

— Ale twój ojciec.

— Nie mogliśmy pogadać z sobą wczoraj wieczorem, dla tego wyszedłem dziś z rana, aby się z nim rozmówić.

— I cóż on powiedział?

— Nic takiego, coby mogło nas niepokoić. Tak, jak to było do przewidzenia, sądząc po jego prawym rozsądku, dał mi do zrozumienia, że dla naszego dziecka, pojednanie się byłoby szczęściem, nie nalegając jednakże na to w obec mego postanowienia. Odjeżdża w przeciągu dwóch tygodni. Podjął się poczynić stósowne kroki w Genewie.

Spokojne zachowanie Jakóba rozproszyło obawy Aurory, z powodu tego nieprzewidzianego powrotu. Kochające serce prędko odzyskuje nadzieję.

Jakże wątpić jeszcze w obec tych dowodów o zupełnem zerwaniu, choćby zważając tylko na obecną separacyą, będącą wynikiem zobopólnego przystania na rozwód. Jakób zatrzymał swoje mieszkanie na ulicy Assas, Genowefa zamieszkała swoj pałac. Wszelka wspólność życia ustała między małżonkami. Nie byłże to pierwszy stanowczy krok zerwania, o którym wkrótce świat miał się dowiedzieć. Wróciwszy do pałacu pani Berthoret, pani de Ploëven zastała tam Urszulę i Genowefę, które ją oczekiwały. Urszula uścisnęła ją serdecznie, Genowefa trochę nieśmiało podała jéj rękę z wyrazem wdzięczności w oczach. Aby pokryć zakłopotanie, Aurora udała zadziwienie z powodu widzenia ich w Paryżu.

— Otóż takie niespodzianki umiem robić ludziom, których kocham! rzekła Urszula do Aurory. Przybywszy wczoraj, ani o jeden dzień nie odwlokłam méj wizyty.

— W istocie jest to miła niespodzianka, odparła Aurora, dodając sobie odwagi, a pani de Trévannes robi wiele zaszczytu. Nie liczyłam tak prędko na tak miłą wizytę.

— List Ryszarda zdecydował nasz wyjazd, rzekła kuzynka. Donosił nam jak pani jesteś dobrą i ile nadziei nasza biedna Genowefa może w niéj pokładać. Spojrzyj pani na jéj zaczerwienione oczy; to też dzisiaj z rana, jako kobieta z głową ułożyłam naszą wizytę, rezykując, że panią nie zastaniemy.

— Droga Urszulo! rzekła Aurora z zakłopotaniem, obawiam się, że sobie robisz iluzye co do mego wpływu, którego pani de Trévannes niezawodnie nie potrzebuje.

— Niestety! odparła z westchnieniem Genowefa.

— Jest nas troje naprzeciw Jakóbowi, zawołała Urszula. Będzie musiał się poddać.

Otwarty charakter poczciwéj Urszuli dotykał tak jasno bolesnego przedmiotu, którego wyznania Aurora byłaby chciała chętnie uniknąć, że nie było podobno nie ufać szczeremu wylaniu jéj i Genowefy wdzięczności. Niekontenta, upokorzona dwuznaczną rolą na którą pewność jéj charakteru się oburzała, Aurora drżała by się nie zdradzić, ale wciągnięta w tę dziwną walkę o swoją miłość i życie. zahartowała się przeciw wyrzutom nieprawego czynu. Bo wszakżeż szczęście Jakóba miało być nagrodą poświęcenia jéj dumy. Nie wahała się więcéj pomiędzy swem sumieniem, a trwogą, a postanowiwszy nie dać się unieść litości, wypytywała ich o przebieg całéj sprawy. Od pierwszego słowa przekonała się. że nieprzewidziane niebezpieczeństwa jéj grożą. Chociaż nie uczyniono żadnych kroków, aby zmusić Jakóba do opuszczenia swego odosobnionego mieszkania, pan de Trévannes ujęty sprawą Genowefy, przyjechał do Paryża, aby popierać pojednanie Zwłoka od syna otrzymana miała na celu naprowadzić go na drogę zapomnienia. Widok swego dziecka i prawdziwe zrzeczenie się świata Genowefy, gotowéj wypełnić we wszystkiem jego wolę, miały go rozbroić. Jakże bowiem mógłby pozostać nieczułym wobec tego nieśmiałego przywiązania.

Słysząc o nadziejach wypowiedzianych przez Urszulę jako pewność, Aurora uczuła trwogę do serca jéj się wkradającą. Miłość Genowefy okazywała się w najmniejszem słowie w intonacyi głosu nawet. A pod skarżącą się boleścią téj rywalki, błagającéj ją nierozważnie o pomoc, odgadywała siłę charakteru kobiety, czującéj się żoną i matką i pragnącéj bronić swéj świętéj sprawy.

Wizyta Genowefy i Urszuli nabawiła Aurorę prawie szalonéj trwogi. Rumieniąc się na wspomnienie dawnéj swéj nieskazitelności, porównywała swoje prawa z prawami opuszczonéj żony, domagającéj się prawowitego szczęścia. Mogłaż ona walczyć, ona, występną swą miłością poniżona może w oczach swego kochanka. Lękliwa teraz w obec Jakóba, obserwowała go drżąc, aby nie ujrzeć go zmienionym, tłomacząc sobie jego wychodzenie z domu, podejrzywając go nawet aż do jego zajęć w interesach, nie śmiała otwarcie go zapytać, ale zimna, gwałtowna, rozdrażniona, wszystko ją gniewało w jéj własnéj rozpaczy.

Kilka dni późniéj Aurora została zaproszona wraz z panią Berthoret do pałacu Fourchamp. Trzeba jéj było jeszcze znieść i tę męczarnią.

Bądź spokojna... rzekła Regina, kiedy powóz zatrzymał się przed gankiem.

— Czyż nie jestem przyjaciółką?... odparła Aurora z bolesną ironią.

W tych ogrodach starego przedmieścia, pierwsze dni wiosny mają ten zamglony, chłodny i tajemniczy pozór lasu. Drzewa tam już się rozwinęły tak dalece, że budynki nie przeszkadzają im oddychać do woli, a w gęstych zaroślach ptaki śpiewają wdzięcznie, nie straszone zdaleka dochodzącym ich szmerem. Cała rodzina zebrana była na tarasie. Genowefa z Urszulą wybiegły naprzeciw przybywającym. Pan de Trévannes powiedział im kilka grzeczności, zadowolony, że je znów ogląda w Paryżu. Ryszard skłonił się z tą przyzwoitą poufałością, przyjętą na wieczorach u Reginy. Jedyny Jakób zauważył, że ręka Aurory drżała w jego ręku, a jéj zaciśnięte usta, ledwo zdołały mu odpowiadać. Niedługo potem, Urszula zniknęła z tajemniczym uśmiechem. Wkrótce ładna, zdrowa mamka weszła za nią do pokoju, niosąc małe dziecię na ręku. — Aurora zbladła nagle. Genowefa odebrała od niéj dziecko i z wdziękiem niedoświadczonéj matki ułożywszy fałdy jego długiéj sukienki, późniéj koronki i pasek, położyła je na kolana pani de Ploëven.

— Oto nasz kochaneczek, rzekła.

— Mój panie, rzekła Regina śmiejąc się, aby pozwolić przyjść do siebie Aurorze, całuję cię z całego serca. Jeżeli późniéj będziesz chciał oddać mi moje całusy wtedy będę już starą kobietą i będę mogła zawiązać ci, węzełek u krawaty, nie kompromitując się.

Aurona przycisnęła zimne swe usta do czoła dziecka. Skoro podniosła głowę, zdawało jéj się, że Ryszard dziwnie jakoś na nią spoglądał.

Zeszli do ogrodu. Urszula pociągnęła za sobą Reginę, Genowefa szła obok Aurory, która machinalnie winszowała jéj syna.

— Niestety, szczęście było dla mnie tak łatwem, rzekła Genowefa wzdychając i patrząc na Jakóba.

— Więc pani bardzo go kochasz?... zapytała Aurora cierpko.

Nagle rumieniec oblał twarz Genowefy. Z wahaniem zbliżyła się ku Aurorze

— Co pani myślisz o tem wszystkiem? zapytała.

— Że może już za późno,... odparła sucho Aurora.

Obiadowali przy otwartych drzwiach.

— Pozwólmy wejść latu, zawołala Urszula.

Po skończonym obiedzie, usiedli na tarasie. Świeże wieczorne powietrze dochodziło ich wraz z zapachami kwiatów. Pani de Trévannes sama nalewała kawę. Wiotka jéj postać odbijała się na zielonem tle ogrodu, światło lampy złociło jéj jasne warkocze, Aurora patrzała na nią i z zranionem sercem zapytywała się, czy miłość Jakóba oprze się tylu powabom. Dojrzały miłością wzrok jéj niebieski, nabrał teraz tego łagodnego blasku, który jest własnością oczów barwinku, głowa jéj pochylała się pod ciężarem poważnych myśli, z całéj postaci wiał nieopisany urok, jakoby tkliwy zapach kwiatu z cieplarni. Giętkość kibici, śliczny układ ramion, widny z pod przej-

rzystego muślinu, wdzięczne ruchy, nieśmiałe, a pewne, wszystko to uderzyło pierwszy raz Aurorę.

— Będzie musiał się poddać! rzekła Urszula wskazując na Jakóba, jakoby myśl jéj zgadując.

Aurora nie mogła powstrzymać się od zarumienienia, ale dobra kuzynka nie była tyle bystrą, żeby to spostrzedz i kiedy w téj chwili mamka powróciła z dzieckiem, zaczęła opowiadać, ileż to życia z jéj siostrzeńcem przybędzie do Glycines. „Zawsze marzyła o różowych trzewiczkach stąpających po zielonych trawnikach.“ Pan de Trévannes potakiwał z uśmiechem. Można było odgadnąć, że te obrazy przyszłości miały na celu kazać zapomnieć o przeszłości.

— Powiedz nam dobranoc Jakóbie IIgi, zawołała Urszula, a skwitujemy cię do jutra.

Genowefa zbliżyła się do niéj z dzieckiem, przyciskając je do siebie z tą miłością młodéj matki, szczodréj w pieszczoty dla pierwszego dziecka; późniéj z wahaniem spojrzała na męża.

— Śmiało, szepnęła Urszula, popychając ją.

Niepewna, lękliwa, z czarownem zakłopotaniem, pani de Trévannes podniosła dziecko do ust Jakóba. On się nachylił i złożył pocałunek na jego czole.

Aurora opuściła ten dom tracąc głowę. Napróżno Regina usiłowała uspokajać biedaczkę, przypominając jéj stałość charakteru Jakoba; jednakże Aurora oddawała się gorzkiemu zwątpieniu, jak gdyby nadzieje jéj spełzły nagle pod twardą rzeczywistością, którą dotąd się łudziła.

XV.

Chociaż przybycie Genowefy w niczem nie zmieniło zwykłego sposobu życia Aurory i Jakóba, nie mogli sobie robić iluzyi, bo nie nadeszła jeszcze stanowcza chwila. Mimo, że zobopólnie nie śmieli wynurzyć sobie niepokojących myśli, czuli, że oboje cierpią. — Wieczór przepędzony u Genowefy przeraził Aurorę. Genowefa, gotowa na wszystko, aby odzyskać męża, pan de Trévannes narzucający swą ojcowską wolę. Czy kochanek nie ulegnie temu koniecznemu obowiązkowi, narzuconemu mu jako ofiarę przez szacunek dla nazwiska, spokoju wszystkich i jego samego? — Jakób ze swéj strony przeczuwał także, że ojciec życzy sobie zgody w imię któréj odwoływał się już do jego rozsądku, a chociaż powziął niezachwiane postanowienie, lękał się walki z powagą, któréj zakładem była wzajemna ich serdeczność. Niezdolna ukrywać swych wrażeń, Aurora oddawała się nierostropnym wybrykom, do których ją pobudzała zazdrość, a szczęście ich pełne było okrutnych niepokojów. Odwiedziny Jakóba u żony stawały się dla niéj powodem straszliwych obaw, których nie umiała już ukrywać. Bo i na cóż te ostrożności, te względy, opóźniające postanowione rozłączenie. Haracz spłacony światowym względom zwalniał ją przecież z wszystkiego w obec brata Genowefy. Pewnego dnia odważyła się na wyrzuty i niesłuszne podejrzenia. Jakób uspokajał ją cierpliwie i z niezmienną swą czułością. Dla czegóż męczyła go obrażającem powątpiewaniem? Czyż nie dał jéj wszelkich dowodów, mogących zaspokoić ją co do jego serca i siły charakteru. Natenczas przepraszała go z uniesieniem żalu, ale skoro się oddalił, ogarniał ją znów niepokój. Zazdrość zdaje się zwiększać nasze wysilenia w celu zwalczenia jéj. Chciała się bronić, wyrwać Jakóba jego rodzinie. Zahartowana w téj niegodnéj roli, któréj upokorzenia już nie czuła, zwodziła Urszulę i Genowefę, aby podchwycić ich myśli. Uśmiech rywalki pogrążał ją w strasznéj niepewności: byłże to uśmiech nadziei, lub nowe jakie uzyskane ustępstwo Jakóba? Ale mimo téj niecnéj zażyłości, rzadko kiedy widywała razem obydwóch małżonków. W takich okazyach zwykle następowało u niéj skryte rozdraźnienie i ponury gniew. Pewnego dnia na wieczorze u Reginy, kiedy Urszula przyciągnęła Jakóba ku Genowefie, w napadzie dzikiego gniewu zbliżyła się do niego i zakazała mu mówić z żoną. Był zmuszonym przypomnieć jéj po cichu aby była ostrożną.

— Co mnie to obchodzi? rzekła blada ze wzruszenia, jestem zmęczona tem udawaniem.

I tak ciągle w niepokoju pędzili życie, kiedy naraz ważny wypadek zadał ostatni cios udręczeniom Aurory. W chwili bowiem kiedy Jakób oczekiwał pomyślnego ukończenia ważnéj sprawy, która się toczyła w Paryżu, doszła go wiadomość o upadku domu handlowego w Londynie, biorącego udział w kopalniach w Szafuzie. Chociaż upadek tego domu dotyczył tylko interesów handlowych i nie mógł podkopać kredytu, ani przedsiębiorstwa towarzystwa, którego był przedstawicielem, Jakób ujrzał się zaskoczonym w pełni powodzenia, koniecznością znalezienia natychmiast środków, których mu nie dostawało, aby nie przerywać świeżo zaczętych robót w kopalniach. Wkrótce zapobiegł pierwszym naglącym trudnościom, oczekując rezultatu układów pozawieranych przez siebie z bankierami paryskiemi. Jakkolwiekbądź popłoch był zbyt nagły, nie mógł go powierzyć ojcu, chociaż pan de Trévannes zapytywał go pewnego dnia z niespokojnością w obec Urszuli i Genowefy o przebieg téj sprawy.

Nazajutrz Jakób będąc u siebie w domu, służący oznajmił mu wizytę pewnéj damy, która nie chciała wymienić swego nazwiska. Wszedł do salonu; dama podniosła zasłonę; była to Genowefa.

— Jakto! ty tutaj? rzekł.

Była tak wzruszoną, że ledwie mogła mu odpowiedzieć.

— Przepraszam cię, że przychodzę, rzekła, myślałam, że się nie rozgniewasz... że może ci nie przeszkodzę...

Jakób odrzekł, że nie i poprosił ją do swojéj pracowni, przysunął jéj fotel, i zabrawszy miejsce przy biórku, rzekł:

— Słucham cię.

Przez chwilę była cisza. Genowefa starała się zapanować nad swem wzruszeniem.

— Chciałam ci powiedzieć, rzekła, starając się nadać siłę swemu głosowi, że cokolwiekbądź zachodzi pomiędzy małżeństwem, żona pozostaje zawsze przyjaciółką męża. Pomiędzy nami jest węzeł, którego żadna siła skruszyć nie może, i to jest nasze dziecko. Gdyby jakie nieszczęście spadło na mnie, przywołałabym ciebie, licząc na współudział, który z natury rzeczy jedno dla drugiego zachować powinniśmy.

Kiedy mówiła, spuściła oczy; łzy spadały jéj po licach.

(C. d. n.)

Redaktor Tadeusz Kamieński w Poznaniu. — Nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu.